MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 19 WARSZAWA 30 KWIETNIA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

IDEE PRZEWODNIE GOSPODARSTWA POLSKI

PROFESOR Roman Rybarski, którego twórczość naukowa w zakresie historii gospodarczej i dziejów skarbowości w Polsce oraz teorii ekonomii jest wyjątkowo obfita, nie zaniedbuje obok tej wytężonej pracy publicystyki gospodarczej. Poczuwa się do obowiązku wypowiadania swoich poglądów w aktualnych sprawach polityki ekonomicznej, uzasadniając podstawy narodowego programu gospodarczego.

W ciągu ostatnich kilku lat ogłasza już piątą książkę na powyższy temat. Po „Przyszłości gospodarczej świata", „Przyszłości gospodarczej Polski", „Podstawach narodowego programu gospodarczego" i „Programie gospodarczym" ukazała się świeżo nowa publikacja p. n. „Idee przewodnie gospodarstwa Polski".

Prof. Rybarski spełnia istotnie ważny obowiązek obywatelski. Z jednej strony, pod wpływem zachwiania się dotychczasowych ustrojów gospodarczych, nabrali śmiałości różni znachorzy ekonomiczni i alchemicy, wmawiający w opinię, że w swych tyglach potrafią fabrykować złoto, z drugiej — przykłady gospodarki niektórych państw uchodzą w oczach niedoświadczonych reformatorów za gotowe recepty, które skutecznie mogą uzdrowić niedomagania gospodarcze Polski. Autor w poczuciu odpowiedzialności za losy narodu rozwiewa te fantazje i złudzenia ryzykanckie. Wychodzi z jedynie słusznego założenia, że narodowy program gospodarczy nie może być kopią obcych wzorów, musi bowiem oprzeć się na polskiej rzeczywistości.

Należy przeto zacząć od stwierdzenia swoistych warunków ekonomicznych, w jakich się Polska znajduje. Statystyka wykazuje, że produkcja rolna jest świadectwem naszego ubóstwa, naszego niedojadania, że w ogóle spożycie w Polsce stoi na bardzo niskim poziomie, że rozwój przemysłu odbywa się w tempie powolnem, natomiast wzrasta szybko podaż rąk do pracy. „Obserwacja poprawy gospodarczej w różnych krajach — czytamy — doprowadza do wniosku, że tempo tej poprawy nie zależało od stopnia, w jakim odbywało się t. zw. nakręcanie koniunktury, czy też upaństwowianie wytwórczości. Daleko posunięty interwencjonizm państwa nie okazał się w tym zakresie specjalnie skuteczny".

Do przezwyciężenia bezrobocia, do walki z depresją, potrzebny jest kapitał. Dla Polski, cierpiącej na brak kapitału, nie może mieć znaczenia eksperyment Roosevelta w Stanach Zjednoczonych, które zgromadziły połowę złota całego świata. Inflacja, która ma u nas gorliwych rzeczników, nie została nigdzie zastosowana w ścisłem znaczeniu słowa, jako środek ożywienia produkcji. Drukowanie pieniędzy papierowych nie może stworzyć istotnego źródła kapitałów produkcyjnych. Autor wyjaśnia przystępnie, na czem polega „cud niemiecki" i wskazuje, że inflacja kredytowa w Trzeciej Rzeszy musi być powstrzymana, jeśli nie ma nastąpić katastrofa. We Włoszech źródłem nowych kapitałów są wkłady oszczędnościowe, państwo pochłania te oszczędności, długi publiczne rosną bardzo szybko.

Państwo polskie dokonało bardzo potężnego wysiłku inwestycyjnego. Ci, którzy nawołują do znacznego powiększenia inwestycyj państwowych, winni wskazać, skąd wydobyć nowe miliardy. W Polsce nie można znaleźć źródła nowego kapitału w zwyżkach podatkowych; wzrost wpływów podatkowych jest następstwem poprawy gospodarczej. Inflacja kredytowa wzorem Niemiec, które zdołały pomimo niej zapobiec zwyżce cen i płac, nie mogłaby u nas dać pozytywnych wyników. Ograniczenie konsumcji w Polsce, wbrew temu, co widzimy w Niemczech, doprowadziłoby do odmiennych zupełnie wyników.

Prof. Rybarski oświetla następnie krytycznie nakręcanie koniunktury, omawia rodzaje inwestycyj i ich wpływ na życie gospodarcze, udawadniając, iż „sztuczne ożywienie gospodarcze nie przeobraża się tak łatwo w ożywienie naturalne,

jak to się wydaje entuzjastom nakręcania koniunktury", same bowiem inwestycje nie pobudzają automatycznie pozapaństwowch sił gospodarczch do nowego życia.

Naczelnem hasłem gospodarczem winna być produktywizacja, do której potrzeba kapitału. Ze stanowiska narodowego ten ustrój społeczny jest wskazany, który najlepiej zabezpiecza kapitalizację. Przeszkodą w narastaniu nowych kapitałów jest przerost warstwy, zajętej pracą nieproduktywną z gospodarczego punktu widzenia, jest ogromna liczba osób, utrzymywanych przez państwo. Należy więcej ludzi zająć pracą produktywną, pomnażającą kapitał. A warunkiem gromadzenie się kapitału jest dochodowość przemysłu, a w Polsce zwłaszcza opłacalność produkcji rolnej.

Przy szukaniu rozwiązań gospodarczych, przy ocenie systemów ekonomicznych, nie wolno zapominać o psychice człowieka gospodarującego. „Nie mamy skrajnego wyboru między wolnością a przymusem w gospodarstwie, lecz stoi przed nami taka lub inna kombinacja tych dwóch pierwiastków". Autor pragnie przywrócić równowagą między gospodarstwem publicznem i prywatnem, zachwianem w Polsce.

„Chcemy — pisze — bezpośrednią działalność gospodarczą państwa sprowadzić do właściwej miary, by mogło dobrze robić to, co do niego należy, a nie podkopywało swego autorytetu przez branie na siebie zadań ponad siły i przez nieudolność swej biurokracji. Dążymy do tego, by przeprowadzić stałe granice między funkcją wolności a funkcją przymusu państwowego w gospodarstwie narodowym; granice, oparte na prawie, w których będzie się mogła rozwijać wewnętrzna wolność narodowa, w których będzie mógł narodowi służyć, przedewszystkiem przez pracę produktywną i powiększanie kapitału, ten, kto prowadzi gospodarstwo na własny rachunek. Wielkie interesy narodu i państwa wymagają, by pomnożyć ilość i wagę tych warstw, które mogą płacić podatki na jego utrzymanie".

W gospodarstwie narodowem musi być planowanie, jako podstawa racjonalnej działalności; natomiast t. zw. gospodarstwo planowe oparte jest w całości na regulującym je przymusie, wychodzącym od warstwy rządzącej, i musi zawieść, gdyż nieda się usunąć niepewności, która tkwi w samej istocie gospodarowania, jest związana z losem ludzi i społeczeństw. Omówiwszy zasady korporacjonizmu, zwłaszcza w jego postaci włoskiej i rolę wodzostwa gospodarczego w Niemczech, które to ustroje prowadzą do kapitalizmu państwowego, jako wyniku nieuchronnego totalizmu politycznego, autor podkreśla, że doświadczenie dziejowe stwierdza, iż etatyzm wywołuje w gospodarstwie sklerozę biurokratyczną". Etatyzm w Polsce ma swoiste cechy ujemne, ale walka z nim wymaga nietylko zmian polityki gospodarczej i finansowej, lecz również przeobrażenia naszej psychiki gospodarczej. Dziedzictwo naszej przeszłości i dziedzictwo wojny, wskutek której „elementem działalności gospodarczej staje się spekulacja i kombinacja", polska psychika biurokratyczna — muszą być przezwyciężone. „Gospodarstwo narodowe jest związkiem różnych, mniej lub więcej samodzielnych gospodarstw, które zespolone przez organizację państwową i narodową świadomość, idą w jednym kierunku, choć nieraz działają niezależnie od siebie i z sobą współzawodniczą".

Pomimo wielu piętrzących się przeszkód ku urzeczywistnieniu programu narodowego, prof. Rybarski kończy swą pracę nutą optymizmu. „Istnieją — pisze — i narastają siły, które usuną te przeszkody, wniosą nowe, twórcze pierwiastki w nasze życie narodowe. Miliony ludzi nie oczekują tego, by państwo niemi się opiekowało i przejmowało ich warsztaty pracy; pragną spokoju i panowania prawa, a nie koncesji, subwencji czy posady; pragną na własnym służyć państwu swem gospodarstwem. Powstaje nowa polska warstwa średnia, narazie ze skromnych jeszcze zawiązków; ale ci straganiarze i sklepikarze, ci drobni przedsiębiorcy bez pomocy państwa zdobywają swą pozycję w walce z żydami i potrafią żyć samodzielnem życiem. Dojdzie do większego znaczenia warstwa chłopska, za której nędzę w znacznym stopniu ponosi odpowiedzialność nasz etatyzm i socjalistyczny duch ustawodawstwa".

Doskonale uzasadnione, żywe wywody autora, oparte na gruntownem przemyśleniu naszego położenia i wytrawnym sądzie, nie dającym się uwieść pozorami i modnymi frazesami, powinny wywrzeć bardzo dodatni wpływ na opinię narodową. Oby znalazły jak najliczniejszych czytelników.

B. W.

POCZĄTKI ANGLII MOCARSTWOWEJ

1

JAKŻE ubogo jeszcze przedstawia się naszym oczom mimo wszystko Anglia w pierwszej połowie wieku XVI wobec potężnej Francji, piętnastomilionowej wówczas (Angia 3 mil.), wobec państwa Karolowego. Odbywać się wnet rozpocznie wyścig o przewagę w Europie, a przede wszystkiem w Italii. Wszyscy trzej władcy, Henryk, Franciszek i Karol posiadają instynkt realizacji. Karol potrafił narzucić „uniwersalizm" polityczny zbiorowisku ludów, znajdujących się w stanie chaosu religijnego. Henryk VIII ma ciężkie zadanie do spełnienia: Francja znalazła się wtedy w dobie rozkwitu po stuletniej wojnie, mogła uchodzić za najpierwszy naród w Europie, błyszczała geniuszami, podczas gdy Tomasz Morus stale Anglię nazywał barbarzyńskim narodem i barbarzyńskim państwem, a mimo to Henryk z 9 miejsca, które wówczas w Europie zajmowała, postanowił ją wysunąć na plan pierwszy.

Dwom ludziom o to chodziło: kardynałowi i kanclerzowi Wolseyowi i królowi, obaj mieli wielkość Anglii na widoku, chociaż właściwemi pobudkami były ambicje osobiste. Wolsey nie zadowalał się kapeluszem kardynalskim, marzył o— papiestwie. Henrykiem posługiwał się jako swem narzędziem. Henryk ze swej strony również trak-

tował Wolseya jako narzędzie, które będzie mógł odrzucić, zniszczyć. W orbitę swych planów wciągnie dyplomatów i polityków, a przede wszystkiem swe żony, jedną po drugiej...

Spłynie Anglia krwią winnych i niewinnych, ale z tej kilkadziesiąt lat trwającej krwawej łaźni wyjdzie wzmocniona, zahartowana, jakby Słowacki powiedział „na ból skała" Otóż tę wizję szesnastowiecznej Anglii (I połowa), chyba na ironię przezwanej „*merry England*" — daje nam Francis Hackett w świeżo przetłumaczonej na język polski książce (Henryk VIII. Warszawa 1939. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Przełożyła Maria Kreczowska. Str. 616+1 knlb.+20 ilustr.).

„Wczuć się w daną epokę, puścić wodze wyobraźni i intuicji dać sugestię życia: oto zadanie psychohistoryka" (5) mówi autor we wstępie. Usiłuje zrozumieć postać tak bardzo spomplikowaną jak Henryka VIII na tle ówczesnej epoki pełnej najsprzeczniejszych idei i poglądów. Wykaże i udowodni setkami dokumentów, że cała wielkość i potęga Henryka na zbrodniach i oszustwie się opierała, na zdradach i wiarołomstwie, tak, ale produkt uboczny?

Była nim także wielkość i potęga Anglii. Naprzód Henryk VII, przebiegły, chciwy do szpiku kości, drapieżca nie lew, zachłanny buntownik, który legalnie mordował, już się nauczył rywalom głowy ścinać w Towerze. Do mistrzostwa sztukę tę doprowadzi jego syn, Henryk VIII. Naprzód gromadzenie bogactw, aby Henryk VIII miał za co wskaniałe urządzać uczty, a ówczesne uczty to prawdziwe były instytucje: chodzili tam członkowie rodów: Howard, Bryan, Carew, Guilford, Boleyn, Seymour, Brandon, Compton, Sandy. A gdy mu złota zabraknie? Przecież tak łatwo posłać magnata do Toweru, a potem na szafot, a majątek skonfiskować.

2

Wskutek przedwczesnej śmierci brata Artura tron odziedziczył, a z nim i żonę po bracie, Katarzynę, córkę Ferdynanda i Izabeli, nie bez opozycji. Żona ta, jak i zresztą cały szereg innych, będzie tylko narzędziem do osiagnięcia potęgi dynastycznej. Za jedną z zabawek uważał Henryk także — wojnę.

Bogactwa ówczesnej Anglii dobrze opisuje w „Utopii" Tomasz Morus, a autor mówi, że „złoty łokieć Anglii trącał Europę w żebro" (108). Władza ma to do siebie, że jest nienasycona, ciągle pożąda wzrostu. Chociaż Henryk sam się uważał za wiernego syna Kościoła, jednak sądził, że do Anglii nie do Rzymu należy słowo rozstrzygające. Do Anglii t. zn. do niego, gdyż stopniowo opanował wszystko. Aby takim właśnie Henrykiem kierować, trzeba było zuchwalstwa takiego właśnie Wolseya. Był to zresztą cynik, który tradycje Kościoła uważał za sprawę reżyserii, za grę olbrzymią. Był to „jawny pirat". Działalność roztoczył wspaniałą, bezwzględną i nieobliczalną, spekulanta i świetnego oportunisty. Zresztą i inni lepsi nie byli. Sforza przekupywał go, licząc na przyszłą pomoc w odzyskaniu Mediolanu. Karol przyrzekł płacić pensję.

Przede wszystkiem pozbywa się Wolsey parlamentu; na politykę patrzał jak na przedstawienie teatralna. Przecież nie chodziło ani jemu ani Henrykowi o dobro ludu. Stosunki np. podówczas w Londynie wśród mas szerokich były okropne, zacofanie straszne, nędza obok strug złota na dworach magnackich, królewska choroba „potnica" wywołana była strasznym brudem. Zawadzał Buckingham? Wytoczyć mu proces, udowodnić mu „sprzysiężenie", a potem na szafot. Przypomina to Napoleona i ks. Enghien. Henryk zresztą niczem się nie wzruszał, wprawdzie codziennie mszy św. słuchał, ale mógł też śmiać się ze ściganej zwierzyny i bez współczucia patrzeć na los słabych. „Wola jego była moralna. Wola jego była prawem". A równocześnie pisze rozprawę teologiczną „*Assertio septem sacramentorum*", w której broni papiestwa przed przybyszami.

3

Ponieważ żona Katarzyna nie dała mu pożądanego syna, postanawia rozwód. Parła do tego Anna Boleyn, kobieta niesłychanie ambitna, która nie pozwoliła na to, by Henryk uczynił z niej kochankę, jak z jej siostry, ale zapragnęła korony. Ponieważ kościół robi trudności z rozwodem, Katarzyna dobrowolnie ustąpić nie chce, Henryk zawsze wierny swoim instynktom w tym wypadku wykazuje „skok uskrzydlonego byka"; musi dojść do katastrofy, z której w niezmiernych bólach zrodziło się dwoje dzieci: Królowa Elżbieta i kościół anglikański, czyli Anglia nowoczesna. Odmowa 19-letniej dziewczyny odmieniła bezwarunkowo bieg dziejów Anglii.

Wolsey znalazł się w sytuacji ciężkiej: nie o religię mu chodziło, widział, że stanowisko swoje straci, jeśli Henryk z Anną się ożeni. Odwodzi go, ale bezskutecznie. Że Henryk odważył się na fakt przełomowy, dowiódł, że „był z gliny, z której się rodzą ludzie twórczy. I jako taki zachował swe znaczenie" (301). Z perfidią będzie teraz udowadniał, że Artur i Katarzyna byli istotnie małżonkami, że według księgi Leviticus, była to zbrodnia. Anna żąda głowy Wolseya. Niewygodny Wolsey staje się ofiarą, a dopełnia jej Tomasz Cromwell.

Po usunięciu Wolseya ambitna Anna pcha męża przeciw Watykanowi; pomocnikiem będzie Cromwell, któremu chodziło o wywłaszczenie za wszelką cenę i na wielką skalę Kościoła rzymskiego. Musieli tylko uważać, żeby tego rozłamu z Kościołem rzymskim dokonać ostrożnie, aby ludu nie obudzić. Bohaterstwo prawdziwe w tej chwili dziejowej okazali Tomasz Morus i Fisher, którzy oświadczyli, że naprzód Bogu będą służyli a potem królowi. More składa godność kanclerza, którą bierze Cromwell. To symbol. Dusza obdarzona rozumem wycofała się, a władzę chwyciła zachłanność z wyszczerzonymi zębami. A Anna, królowa weszła na tron tylnemi drzwiami, uwielbiana przez rymy Tomasza Wyatta, nie dostrzega ludu, nad którego głowami dramat się rozgrywa. Teraz już łatwo o rozwód, skoro Henryk jest głową Kościoła. More i Fisher śmierć poniosą, ich krwi potrzeba było, aby się cementowała wielkość Henryka.

4

Gdy królowa Katarzyna głowę dawała pod miecz katowski, Henryk i Anna w żółtych, więc radosnych barwach się weselili. Ale gdy i z An-

ną nie doczekał się potomka żywego, powziął plan zmiany małżeństwa, pomówi a potem nawet oskarży Annę o kazirodztwo z bratem własnym i Anna podzieli los Katarzyny. — Nowa królowa, Joanna Seymour, doskonale uległa, jak owca pójdzie za mężem. Wszakże zostać żoną Głowy Kościoła było chyba aktem nie mniej religijnym. Chce pojednać Henryka z córką Marią (22 lat miała wówczas). Przewodniczącym synodu — Cromwell, parlament opanowuje całkowicie; Wolsey udzielił Henrykowi najlepszej lekcji dyplomacji europejskiej: „miejsce jej jest w samym środku huśtawki europejskiej" (442). Pozatem Henryk traktował swoje królowanie jako rzemiosło. Pole tak charakteryzuje Henryka: „W ciągu 27 lat swych rządów bezustannie ograbiał swych poddanych, a jeśli był w czemkolwiek hojny to z pewnością nie w sprawach ogólnego dobra. Rabował każdego, drwił z szlachty, nigdy nie kochał ludu, niepokoił duchowieństwo i niby dzikie zwierzę rozszarpywał tych, którzy byli największą ozdobą jego królestwa" (459).

Bunt wybuchły przeciw Henrykowi stłumi Norfolk, który i tak potem głowę da pod miecz katowski. Powiedział o Henryku M. Luter: „Pan Henryk chce być Bogiem i robić, co mu się podoba".

Po śmierci Joanny, która mu syna Edwarda dała, żeni się z Niemką, Anną Kliwijską, a w międzyczasie pali żywcem Lamberta, ścina Montague'a, Exetera, widzi bowiem że wyroki śmierci to najlepszy sposób, by poddanych utrzymać w spokoju. Z kolei wystąpi przeciw Cromwellowi, który zginie, niespełna 50-letni, wpierw najpokorniejszy list do króla wysławszy. Czyżby, jak Iwana Groźnego, kochali go ci, którzy odeń męczarni doznawali? Właśnie w dzień stracenia Cromwella — nowe małżeństwo z Katarzyną Howard. Aż dziw, że znajdowały się kobiety, które nie ustraszyły się losu poprzedniczek.

Cóż to za „róża bez kolców" była ta młoda małżonka (o 6 lat młodsza od córki Henryka, Marii), kiedy sama poznała miłość mając lat 13! I ona wnet śmierć poniesie z rąk kata, ustępując miejsca znowu Katarzynie Parr.

Dusza Henryka coraz bardziej chora na żądzę władzy; cały ład społeczny oparł na przemocy i oszustwie. A gdy patrzymy na tych Cromwellów, Seymourów, Boleynów, Howardów, widzimy, że rozum u nich był ubogim krewnym, w tych olbrzymich ciałach angielskich. Samemu Henrykowi już po raz szósty żonatemu zdawało się, że dotrzymuje kroku Bogu — z nikogo i z niczego sobie nic nie robi, żadnego oporu nie doznaje znikąd — i ta małżonka wnet na szafot pójdzie...

Zbliża się i jego koniec, wyznaje swe grzechy, koronę zapisuje Edwardowi i jego potomkom, Elżbiecie i jej potomkom, następnie obu córkom swej siostry Marii. Cokolwiek by się sądziło o nim, trzeba stwierdzić, że „Henryk był kawałem życia, bryłą energii, wyczarowaną ze słońca. Jego naga siła wżarła się w to, co zepsute, i w to, co święte i zdrowe. Życie swe chłonął żarłocznie. Usiłował je opanować. Królewską ręką zwielokrotnił spuściznę ludzkiego cierpienia. Krążąc w koło siebie z wielką podejrzliwością, osiągnął na koniec jesienną pogodę, ociekającą zgnilizną. Możliwe, że w swoim umyśle miał nieubłaganego świadka tej zgnilizny, a może ten znużony świadek osuszył mu łzy i splótł ręce. Ale 38 lat jego panowania w Anglii nie minęło bez śladu. Wyrobił charaktery, przetworzył politykę i dzięki zdumiewającej zręczności uczynił się głową Kościoła. Dopiero po wielu latach zrozumiano to w całej doniosłości; słońce i światło oczyściły częściowo perwersję źródła, z którego to wypłynęło" (614).

Czyż możemy się dziwić, że Anglia odetchnęła wyzwolona z pod gniotącego ją ucisku?

5

Przypatrując się Henrykowi i jego epoce, widzimy rody dynastyczne i grę sił wielkich jednostek ambitnych. Chodziło im o uświetnie tych rodów, dobro ludu wcale ich nie obchodziło, chociaż z niego wyszli jak Wolsey, Cromwell i inni. Dobro ludu było czynnikiem ubocznym, wszystko inne, więc religia, polityka były narzędziem do osiągnięcia celu.

Była jedna potężna siła, której się Henryk przeciwstawił, to Watykan. Cóż kiedy i papiestwo wtedy krytyczne przeżywało chwile. Prądy humanistyczne przeżarły epokę ówczesną. A jednak — jak to sobie Wolsey uświadomił — „Watykan był nie tylko wolą, którą należało przejednać; był ponadto najlepiej zorganizowaną pamięcią świata. Jeśli ewolucja naciskała zbyt ostro, mógł zręcznie zreorganizować swą pamięć, aby ją do ewolucji przystosować, w przeciwnym razie opierał się wygodnie na szerokiej niewzruszoności precedensu (295).

Tomasz Morus ocenia ówczesną Anglię jako państwo i naród na pół barbarzyński, chociaż trzeba stwierdzić, że w sposób żywy wchłaniała w siebie wszystkie soki ówczesnego cywilizowanego świata. W żywym kontakcie pozostawała z takim racjonalistą i sceptykiem jak Erazm z Rotterdamu. Sam król stara się i w tym kierunku dotrzymać kroku, bierze czynny udział w ruchu umysłowym, który jest w dużej mierze ruchem religijnym. Pisze rozprawy teologiczne, dysputuje na tematy teologiczne, tworzy ballady, wydaje książki, ba, ofiaruje je papieżom i — mieni się obrońcą Kościoła, do czasu, dopóki mu to będzie wygodne.

6

Czyżby Henryk zwłaszcza w stosunku do kobiet przejawił pewne popędy patologiczne? W książce Hacketta nie ma na to dość przekonywujących dowodów, raczej na to, że taki tryb postępowania dyktowały mu względy taktyczne i dynastyczne. Mimo wszystko jednak, naszem zdaniem, za daleko posunął się autor identyfikując króla Henryka i jego „rzemiosło królewskie" z dzisiejszymi amerykańskimi królami stali, bawełny, kawy czy tłuszczu. Wprawdzie lud w rachubach polityczno - dynastycznych takiego Wolseya, Cromwella czy przede wszystkim Henryka VIII niezbyt wielką odgrywał rolę, nie można jednak przejść obojętnie obok narodu, który wszak wnet się zbudzi.

Silnie osadził „psychohistoryk" Anglię na tle epoki, a więc dał obraz tych wszystkich sił i prądów, których wypadkami są dzieje Europy pierwszej połowy wieku XVI. Te siły przecież nie

były znów tylko wypadkową gry dyplomatyczno-dynastycznej rodów panujących. Musiały one znaleźć podłoże głębokie w szerokich warstwach ludu i narodu. Coprawda na narodzenie się prawdziwie narodowej Anglii trzeba będzie czekać jeszcze blisko 100 lat, ale jej elementy już się tworzyły.

Już teraz Anglia objawia ambicję, by znaleźć się w rzędzie pierwszych państw w świecie — wnet też zejdzie z pośród pierwszych wyczerpana Hiszpania, a miejsce jej zajmie Anglia. Rodzi się w Henryku VIII charakter obywatela angielskiego, twardy, zahartowany na zmienne losy i nieszczęścia, pan swojej woli i pan świata. „Z silnych namiętności rodzą się silne namiętności". Wnet nastanie wspaniała epoka Elżbietańska, i Szekspirowska i Baconowska — potężna ekspansja sił najróżnorodniejszych. Nic dziwnego — grunt silnie był zlany i spulchniony krwią, a to zawsze najlepszy i najcenniejszy składnik i ziemi i istoty człowieczej.

Wydobył Henryk VIII z duszy narodu maximum siły duchowej, napięcia psychicznego, które niebawem przetworzy ten naród w genialne, świadome dzieła sztuki. Nie może bowiem w życiu narodu zjawić się potężna sztuka, jeśli ten naród wpierw nie zostanie do głębi wstrząśnięty, poruszony przez potężny wicher dziejowy, jeżeli ten naród nie zostanie zagrożony w swoim bycie. Po wielkich kataklizmach musi powstawać wielka sztuka, która wszak nie jest ani ozdobą ani zabawką ale biologicznym nakazem życia, czynnikiem w krzewieniu tego życia niezbędnym i koniecznym. Tak było w Grecji starożytnej, gdy po wojnach persko-greckich rozkwitła wielka sztuka, tak było niejednokrotnie gdzie indziej, tak było i u nas. W walce, we krwi, w pożodze wykuwają się nie tylko nowe formy życia państw i narodów, ale i nowe dziedziny piękna, sztuki.

Oborniki. JAN ŚWIERZOWICZ

CZY MAURIAC JEST PISARZEM KATOLICKIM?

OTO PYTANIE, które zadają sobie ustawicznie czytelnicy autora „Kłębowiska żmij". Czy klimat powieści Mauriac'a jest katolicki, czy jego bohaterzy są katolikami, czy sposób i rozwiązania przezeń problemów wiary — jest katolicki, prawdziwie katolicki? Odpowiedź wypada niepewnie. Bo ten świat Mauriac'owski — trudno tego nie przyznać — ciężarem, wagą, znaczeniem, jakie posiadają w nim sprawy wieczne człowieka, uprzytamnia w sposób niezwykle sugestywny, nawet groźny, odpowiedzialność moralną katolika. A z drugiej strony ten świat Mauriac'owski posiada atmosferę, która mrozi wszelki indywidualny pęd, wszelkie indywidualne poczynaniaw kierunku spraw zbawienia, czytelnika ogarnia jakaś depresja, jakieś zniechęcenie, zaraża się beznadziejnym pesymizmem autora. Więc, czy Franciszek Mauriac jest pisarzem katolickim, czy nim nie jest? Krytycy u nas podzielili się na dwa obozy o skrajnych stanowiskach. Jeden mówi: nie, i stara się najusilniej zwalczać wpływy Mauriac'a na polskie sfery katolickie. Drugi mówi: tak, i nie znajduje dość słów zachwytów dla pisarza. Należy jeszcze dodać, że oba obozy uznają się za wybitnie katolickie. A gdzie jest prawda? Prawda objawić się może tylko w sumiennem, rzeczowem, i umiejętnem badaniu twórczości głośnego pisarza — pod kątem tego właśnie problemu. I tę prawdę zdaje nam się przynosić studium francuskie Jacques Vier'a p. t. *„François Mauriac, romancier Catholique*?" (Fr. Mauriac powieściopisarzem katolickim?) wydane świeżo w Paryżu.

Dwa szczególnie zadania postawił przed sobą autor. Jedno: stwierdzić, czy Mauriac jako powieściopisarz zawsze przestrzegał prawdy ludzkiej, i drugie, czy jako katolik trzymał się zawsze swej wiary.

Analizując już pierwsze powieści Mauriac'a Vier stwierdza, że życie dla niego przedstawia się jako przerażający scenariusz, w którym jakiś niewidzialny dramaturg, trochę sadystyczny, zakłada sidła, ażeby uwolnić z nich tego, kto mu się podoba, naogół najbardziej winnego i najmniej pewnego w uznaniu boskiego znaczenia swoich ziemskich przygód; ponieważ nigdy dobrze nie będziemy wiedzieć, o ile chodzi o niektóre z tych postaci, czy one przeczuwają w swojej klęsce obecność Boga, czy też upierają się w rozkoszowaniu się swą nędzą. Z przygód, jakie każe przeżywać swym bohaterom, lubi Mauriac wyciągać naukę, która jest mu drogą, mianowicie, że życie jest przypadkiem straszliwie tragicznym i o następstwach nieograniczonych.

Jeżeli teraz przejdzie się z akcji powieści do studium nad postaciami Mauriac'a, to trzeba będzie stwierdzić, że więcej wśród nich jest grzeszników, aniżeli świętych. Ci ostatni są przytem z reguły potraktowani jako ofiary, religia usprawiedliwia ich istnienie: „Szczęśliwi, którzy są słabi", a Kościół jest dla nich ucieczką. Są to inwalidzi socjalni, bądź to, że ich słabość fizyczna czyni ich niezdolnemi do hulaszczego życia paryskiego, lub do brudnego sknerstwa chłopskiego, którym ma Mauriac zwyczaj charakteryzować swych potępieńców, bądź też że chwyciło ich za gardło, ledwo weszli w życie, przerażenie wobec całego zła, które kryje wiek. Mauriac'a fascynują przedewszystkiem osoby, których cała aktywność grzeszna wysila się w kierunku wypełnienia próżni serca, wszystkie marnotrawne dzieci, których najgorsze zbłąkanie się stwarza obsesję powrotu. Że łaska Boża jest nieskończona i że wszyscy w Jego oczach są równie zdolni do ocalenia swej duszy, ta prawda, z którą zgadzają się wszyscy, nie usprawiedliwia wezwania Mauriac'a do czytelnika, by ścierpiał powrót najgorszych zezwierzeńceń takiego Raymonda Courrége („Pustynia Miłości") albo deprawacyj takiego Hervé'ego de Blénauge („To co zginęło"), nawet gdy obaj wiedzą, że „błoto nazywa się błotem". Czytać Nietzschego i następnie zabić się (Irena de Blénauge w „Tym co zginęło"), oto czyny, które mogą tłumaczyć się jako pochodzące od istoty dogorywającej. Jaka jest ich siła odkupicielska? Rozpacz, która tai

się w rozkoszach cielesnych lub którą żywi podniecenie mózgowe, czyż można uważać za najlepsze przygotowanie do stanu Łaski? Cóż Mauriac rzuca do stóp ołtarza? Trzodę chorych, poniżonych, histeryków, często wbrew ich woli. Gdyż oto główna cecha wszystkich tych lubieżników i opętanych: brak im zrozumienia i troski o osobisty wysiłek. Pesymizm Mauriaca usuwa się z tego obrazu wolności ludzkiej współdziałającej z łaską, którego wymagał Ernest Hello, wielki francuski myśliciel katolicki. Mauriac odczuwa potrzebę, ażeby ożywić swych godnych politowania bohaterów, — osłabienia w nich wolnej woli, odebrania człowiekowi zasługi podjęcia boskiego posłannictwa i rzucenia mu pasa ratunkowego, który w jakiejś „rzece ognia", w której się kąpie, wyciągnie go z niebezpieczeństwa. Lecz pas ratunkowy każe się śmiać niewierzącym i wszyscy ci marnotrawcy mauriacowscy są zbyt pewni swego zbawienia wiecznego, ażeby zreflektować naszych współczesnych agnostyków przekonanych o tem, że jedynie piękne jest życie niebezpieczne i że przyszła chwila, by wszystko zdruzgotać „jakakolwiek by była cena zdruzgotania" (R. Fernandez „Studium nad Mauriac'em"). Bohaterzy Mauriac'a są ludźmi biernymi, jeżeli idzie o sprawy zbawienia, „o wiele więcej pozwalają by Chrystus ich nosił, niż by oni nosili Chrystusa". Zgrubsza można powiedzieć, że robią oni wrażenie, jakoby byli pozbawieni stosu pacierzowego.

Z tej samej przyczyny, dla której trzeba stwierdzić, że Mauriac przedstawia nam tylko katolików w półcieniu, należy powiedzieć, że opis świata grzechu jest niekompletny, prawie mało lojalny. Jest pewna siła zarówno w dobrym jak i w złym, na którą nigdy nie zwracał Mauriac uwagi, a która może obdarzyć tutaj człowieka, istotę przejściową, bądź to promienistym refleksem świętego bądź też jakąś cząstką ponurej piękności archanioła upadłego. Nie przemyślał niezapomnianych stron, które Ernest Hello poświęca Krzysztofowi Kolumbowi i złemu łotrowi („Spojrzenia i światła").

Trudno jest nie dostrzec u Mauriac'a świadomej woli uwypuklenia przywar tych, którzy prowadzą życie rodzinne. Piekło związku małżeńskiego, nieznośna niewola autorytetu macierzyńskiego lub ojcowskiego, takie są zwykłe aspekty ogniska domowego u Mauriac'a. Nawet księża, o ile związali się z życiem rodzinnem swych parafian, nie unikają śmieszności.

Już Archambault (w „*Cahiers de la Nouvelle Journée*") od dłuższego czasu wykazywał, że Mauriac nie interesował się nigdy społecznem życiem człowieka, jeżeli rodzina nastraja go niechętnie, państwo i ojczyzna są mu obce. Dlatego też jego pesymizm zamyka go w granicach zbyt wąskich i zakazuje mu spodziewać się, by ludzie mogli odrodzić się społecznie i duchowo. Wprawdzie od dwóch czy trzech lat Mauriac stale pisuje do pewnych tygodników płomienne artykuły na tematy społeczne i polityczne, cóż kiedy usiłuje w nich uświęcić *Frente Popular*! Żadnej pociechy nie spodziewa się również od natury, raczej przeciwnie czyni ją również współwinną.

Mauriac oświadczał, że istotnym jego zajęciem jest problem zła. Problem ten świadomie ograniczył do studium nad obsesją zmysłową. („Le Roman"). Uważa on, że obraz zła przestaje być ciekawy lub traci swą realność, gdy nie lokalizuje się w buntach zmysłów przeciwko moralności religijnej, że z wszystkich pożądliwości pisarz zatrzymuje tylko pożądliwość ciała. Lecz w ten sposób Mauriac wykrzywia i poniża problem stosunków między Stwórcą a stworzeniem. W przeciwieństwie do Bossuet'a, który w swym „Traktacie o pożądliwości" rozróżnia pożądliwość ciała, oczu i pychy światowej i stawia je na równi, Mauriac ogranicza całą tę sprawę: ciało przezwycięża wszystko i katolicyzm nie jest dlań niczem innem, jak tylko terapeutyką, która zmusza człowieka do przeniesienia na Boga miłości, odczuwanej do stworzeń. Niema wskutek tego atmosfery bardziej duszącej, powiada Vier, niż ta atmosfera zmysłowości, która usiłuje być jedynem wyjaśnieniem człowieka i która ciągnie za sobą ducha jak niewolnika.

Jego dramat „Asmodeusz" pozwala ujawnić w świetle jaskrawem istotne ubóstwo konfliktów, stanowiących zwyczajny przedmiot jego dzieł. Ci, którzy myśleli, że Mauriac przyszedł uświęcić scenę, musieli się bardzo zawieść. Starał się przedewszystkiem podobać parterowi a parter, podczas premiery, składał się w większej części z notablów Frontu Ludowego, z którego Mauriac, o czem każdy wie, rekrutuje swoich najlepszych przyjaciół, żeby tylko wymienić Blum'a, Zay'a, Chautemps'a. Sam zaś dramat nie posiada nic katolickiego, jest raczej heretycki.

Nie można mieć do Mauriac'a pretensji, że zaanektował sobie jako wyłączny przedmiot studiów zło, lecz trzeba wtedy, by wyczerpywał je na wszystkich płaszczyznach, na których spełnia się różnorodność grzechów naszych współczesnych, by z nich dochodził do leków, ponieważ jest katolikiem, by rozwijał w ich perspektywach odpowiedzi wiary.

Otóż chrystianizm jest również zbiorem obietnic, zabezpieczeń i pomocy przeciwko fatalności grzechu i wiara, której wymaga Chrystus, bierze na własność wszystkie te gwarancje. Bez studium wiary pojętej w sposób dynamiczny i na różnych płaszczyznach działalności ludzkiej, przedstawionej w jej postępach, jej upadkach, jej zwycięstwach i jej końcowym rozkwicie, jest jasne, że nie ma powieści katolickiej. Tymczasem u Mauriac'a wiara nie posiada nic pocieszającego, jest ona ciężką, nieznośną niewolą. Mauriac poniża wiarę, redukując ją do roli dzwonka alarmowego.

Wreszcie ostatnim aspektem autora „Teresy Desqueroux" jest liberalizm. Swą karierę literacką rozpoczynał w epoce tryumfu André Gide'a. Wiele jego książek objawia mimowolną wierność dla tego mistrza. Łatwo również spostrzec można u niego nabożeństwo do freudyzmu (uczucia kazirodcze w „*Genitrix*", tak drogie sercu Leona Bluma). W jego monografii o Jezusie Chrystusie znać wielkie wpływy mody czasu współczesnego: odbronzowiania i pomniejszania wielkości. Psychologia Chrystusa Mauriac'owskiego odznacza się brutalnym realizmem. Opisując oblicze Zbawiciela dał również wyraz swoim predylekcjom, przepoił go cechami swych bohaterów powieściowych.

Tak przedstawia się studium Jacques'a Vier'a w swych zasadniczych punktach. Trzeba było w tem streszczeniu z konieczności pominąć szereg argumentacyj, które stanowią może największą

wartość tej publikacji. Wydaje nam się, że problem czy Fr. Mauriac jest powieściopisarzem katolickim został rozwiązany definitywnie: nie, nie jest. Jest pisarzem wysokiej klasy, jest wielkim artystą, ale katolicy nie mogą go uważać za swojego reprezentatywnego pisarza. Za dużo w nim negacji, za mało afirmacji. Być może, że decyduje o tem natura talentu Mauriac'a, czująca się lepiej w atmosferze zła, niż dobra. Jest on zresztą pisarzem w pełni rozwoju. Do tego czasu przechodził szereg konfliktów wewnętrznych, szereg wątpliwości i wahań. Wciąż w nim jest wiele sprzeczności. Być może że kiedyś, kiedy wykrystalizuje się wewnętrznie i kiedy jego duch burzliwy i niespokojny uśmierzy się, dosłuży się rangi pisarza katolickiego...

Poznań ALEKSANDER ROGALSKI

ANTONI TROCZEWSKI

OTRZYMAŁEM skromną dwuarkuszową broszurę, wydrukowaną przez J. Celkowskiego w Kutnie. Tytuł: „Wspomnienia o ś. p. Antonim Troczewskim w 10-tą rocznicę zgonu". Broszura ta zawiera to wszystko, co w wpismach było zamieszczone o zmarłym w r. 1928, opis pogrzebu i mowy na pogrzebie wygłoszone. Świadczy ona o czci jaką Antoni Troczewski cieszy się w Kutnie, jest też skromnym, lecz jakże zasłużonym hołdem złożonym jego pamięci. Zbyt mało wie opinia polska o ludziach takich, jak dr. Troczewski, dlatego, nawiązując do wymienionego powyżej wydawnictwa, chcę przypomnieć w dziesięciolecie zgonu jego życie i działalność.

I

Antoni Troczewski urodził się w r. 1861. Ojciec, także Antoni, był szefem departamentu sprawiedliwości, brał udział w powstaniu i był skazany na śmierć, „której uniknięcie losowi Opatrzności mógł tylko zawdzięczać" [1]).

Należał tedy Antoni Troczewski do tego pokolenia, które — urodzone w latach sześćdziesiątych — weszło w życie publiczne w ósmym dziesiątku lat i tak wybinie się zaznaczyło w naszych dziejach porozbiorowych. Ukończył II gimnazjum w Warszawie w r. 1881, a wydział medyczny tamże w r. 1886. Został potem asystentem znanego lekarza dr. Jawdyńskiego.

Był tedy młodym lekarzem, gdy się rozpoczynał nowy ruch narodowy w kraju. W styczniu r. 1887 został założony Związek Młodzieży Polskiej, pod koniec roku w Szwajcarii Centralizacja Ligi Polskiej z płk. Zygmuntem Miłkowskim na czele. Rychło zjawili się emisariusze Ligi w Warszawie, Antoni Troczewski był prawdopodobnie przyjęty do organizacji w pierwszych czasach jej istnienia. Wiemy z opowiadania R. Dmowskiego, że gdy Związek Młodzieży Polskiej został zwolniony z bezpośredniej zależności od Ligi (1890), to na zebraniu, na którym to zostało dokonane, wystąpił jako komisarz Ligi Troczewski.

W r. 1890 osiedlił się młody lekarz w Kutnie i przez lat blisko 40, bo do końca życia, tam mieszkał. Wyjechał Troczewski na prowincję dlatego, że było to zgodne z ideologią i programem pokolenia, do którego należał.

Prowincja polska w Królestwie Polskiem była niesłychanie zaniedbana, kto mógł uciekał do Warszawy, miasta i miasteczka były pozbawione wszelkiego życia społecznego. Młodzież, która opuszczała uniwersytety pod koniec lat osiemdziesiątych, przechodziła przez organizację Związku Młodzieży Polskiej, była przyjmowana potem do organizacyj tajnych — Ligi Polskiej i zależnej od niej Łączności, czytała „Głos", wychodzący od r. 1886, była przejęta poczuciem obowiązku pracy wśród szerokich mas społeczeństwa, chciała nieść „dobrą nowinę" narodową i pracować „u podstaw".

Wówczas to zjawili się w różnych miastach młodzi lekarze, adwokaci i t. d., którzy później, przez lat dziesiątki kładli fundamenty pod ruch narodowy w zaborze rosyjskim. Byli to przeważnie rówieśnicy lub nieco młodsi towarzysze Popławskiego, Balickiego i Dmowskiego. Gdy ci trzej a obok nich inni zakładali pisma, pisali książki i broszury, tworzyli ideologię i program ruchu demokratyczno-narodowego, jedni członkowie organizacji, że wymienimy tylko zmarłych — Teofil Waligórski, Józef Kamiński, Kazimierz Łazarowicz kierowali jej działalnością w Warszawie, a inni znów osiedlili się po miastach i miasteczkach i tam szerzyli jej ducha i pracowali w myśl jej programu i wskazań. Do tych ostatnich należeli: dr. Antoni Troczewski w Kutnie, dr. Leon Rutkowski w Płońsku, dr. Jan Harusewicz w Ostrowi Mazowieckiej, dr. Zbigniew Paderewski w Zagłębiu Dąbrowskim, a później dr. Psarski w Ostrołęce, dr. Bronisław Malewski w Nałęczowie, dr. Józef Guzowski w Lublinie, Stanisław Moskalewski w Żwierzyńcu i tylu, tylu innych.

Przyszły historyk, zajmując się dziejami naszego narodu w okresie niewoli, nie będzie mógł pominąć działalności tych ludzi. Przez lat kilka dziesiątków byli oni inicjatorami i organizatorami w dziedzinie życia społecznego, gospodarczego i politycznego. Skupiali inteligencję, odrywali ją od trosk życia codziennego i zaprzęgali do pracy na rzecz dobra powszechnego. Budzili w niej wiarę w siły narodu i w jego przyszłość; przez nich duch narodowy i ideologia narodowa szerzyła się po całym kraju. Dotarli też do warstw ludowych, wprowadzili w życie narodowe rzemieślników, robotników a zwłaszcza włościan, te więc warstwy przedewszystkiem, do których nie docierali socjaliści. Kto zna prowincje w Kongresówce, ten wie, że poziom kultury i wyrobienia społecznego jest wszędzie tam wyższy, gdzie przed laty pracowali działacze stronnictwa demokratyczno-narodowego, gdzie regularnie docierały „Przegląd Wszechpolski" i „Polak". Iluż to wybitnych przedstawicieli ludu wiejskiego i miejskiego, którzy wysunęli się w życiu społecznem i politycznem w Polsce odro-

[1]) Mowa ks. Żelazowskiego na pogrzebie.

dzonej po r. 1919 wychowało się w szkole politycznej i społecznej ludzi tego typu, co powyżej wymienieni.

Do najwybitniejszych wśród nich należał dr. Antoni Troczewski. To też dużo światła rzuca na rozwój stosunków w zaborze rosyjskim, zarys pracy d-ra Antoniego Troczewskiego w Kutnie.

II

Kutno miało w r. 1890 około 12.000 mieszkańców, było to przeciętne miasto powiatowe, choć położone w okolicy zamożnej i dobrze zagospodarowanej. O stosunkach gospodarczych w mieście dowiadujemy się z korespondencji A. Troczewskiego zamieszczonej w „Głosie" (Nr. 52, r. 1891), a podpisanej pseudonimem Kutnowianka [2]). Pod miastem była cukrownia Konstancja (tow. akcyjne) i browar, należący do dominium kutnowskiego, lecz dzierżawiony przez żyda. Cały prawie handel był w rękach żydowskich, firmy chrześcijańskie nie popierane ani przez wieś ani przez miasto upadały, pozostały tylko dwa składy materiałów aptecznych, handel win i towarów kolonialnych i dwie apteki. Był też dobrze prowadzony zakład artystyczno-fotograficzny. Cały handel zbożowy — wyłącznie w rękach żydowskich. Załatwianiem większych i drobnych interesów zajmowała się cała zgraja faktorów. „Cała ta falanga faktorów— pisze Kutnowianka — jest głównym doradcą, pośrednikiem i prawą ręką naszego obywatelstwa, bez ich udziału nie obejdzie się żadna tranzakcja handlowa, nie może się dokonać żadna sprzedaż, zamiana, pożyczka. Pośredniczą oni w zakupywaniu narzędzi gospodarskich, inwentarza, a nawet przedmiotów codziennego użytku w gospodarstwie domowem".

Inteligencja miejska patrzyła na stan ten obojętnie, zajęta wyłącznie sprawami osobistemi. „...ludzie u nas — pisze A. Troczewski — poza sferą obowiązkowych zajęć, albo się kłócą, albo grają w karty, lub wreszcie w podobny, a nie zawsze godny sposób czas spędzają; nic więc dziwnego, że nie mają go na zainteresowanie się sprawami natury ogólniejszej".

Życie towarzyskie było bardzo słabe. Istniała resursa, lecz głównie korzystano z niej, by grać w karty. „Bilioteka resursy zawiera zaledwie kilkanaście tomów, przeważnie dodatków powieściowych dzienników i tygodników... a o odczytach, koncertach amatorskich i t. p. mowy nigdy nie było".

Istniała Kasa Przemysłowców, lecz upadła. Jedynym stowarzyszeniem była Straż ogniowa ochotnicza, lecz poza wykonywaniem swych bezpośrednich zadań innemi sprawami się nie zajmowała.

Wszystkie stanowiska w administracji były oczywiście zajęte przez Rosjan. Jedynie wolne zawody były obsadzone przez Polaków. Mieszkało w Kutnie 6 lekarzy cywilnych, byli adwokaci, aptekarze, felczerzy (aż 16) i t. d.

W takiej oto „dziurze" prowincjonalnej znalazł się dr. Troczewski, mając lat około 30. Osiedlił się na prowincji zgodnie z programem życiowym, jaki posiadał, w zamiarze budowania Polski „od podstaw" na terytorium kilku sąsiednich powiatów „guberni warszawskiej". Zastał tam przybyłego w r. 1889 młodego adwokata Feliksa Wąsowskiego, wkrótce potym zamieszkał w Kutnie właściciel apteki Józef Jopkiewicz. Wszyscy trzej należeli do Ligi Polskiej [3]). Zbliżyli się ze sobą i wnieśli nowego ducha w życie inteligencji kutnowskiej. Koło nich skupiło się grono, do którego należeli: Bronisław Rzeszotarski, gorzelany a później administrator dóbr kutnowskich, Marian Sawicki, komornik sądowy, Kazimierz Kahl, lekarz weterynarii oraz Alfred Vaedtke, przemysłowiec.

Rozejrzawszy się w położeniu, grono to zajęło się przedewszystkiem jedynym stowarzyszeniem, jakie istniało — strażą ogniową ochotniczą. Wstąpili do niej jako zwyczajni szeregowcy, chodzili na wszystkie próby i ćwiczenia i w ten sposób zyskali sobie zaufanie kolegów strażaków, rekrutujących się przeważnie z drobnych rzemieślników, którzy okazali się nadspodziewanie dobrym materiałem społecznym. Straż zaczęła się rozwijać, zwłaszcza, gdy na jej czele stanął Kazimierz Kahl. Prezesem zarządu został z czasem dr. Antoni Troczewski.

Trudniej było z inteligencją. Próbowano różnych sposobów, lecz bez powodzenia, wreszcie udało się skupić miejscową inteligencję na gruncie zabawy. Zorganizowano amatorskie kółko teatralne. Przedstawienia dawane przez to kółko kilka razy do roku zaczęły się cieszyć wielkim powodzeniem. Przy okazji zebrań, prób i przedstawień ludzie zbliżyli się między sobą, utworzyło się środowisko, w którem można było krzewić dobre idee i dawać inicjatywę do dobrych poczynań. „Jestem przekonany pisze p. Wąsowski — że jeżeli następnie praca nasza społeczna i polityczna poszła tak dobrze i w tak szybkim tempie, nastąpiło to na skutek zjednoczenia się społeczeństwa w kółku amatorskim".

Straż ogniowa i kółko amatorskie — w tych dwóch środowiskach rzucili ludzie skupiający się około dr. Troczewskiego myśl wybudowania Domu Strażackiego z salą teatralną. W tym kształcie postanowili powołać do życia Dom Narodowy, w którym w przyszłości mogłyby się mieścić różne instytucje polskie, o których założeniu myśleli. Powstał komitet dla wykonania tego projektu, a we wrześniu r. 1899 rozpoczęto budowę domu z salą teatralną według projektu inż. Stebelskiego. Dom został oddany częściowo do użytku w roku 1901, a wykończony ostatecznie w r. 1908. Kosztował około 30.000 rb., zebranych z dobrowolnych ofiar, z dochodów, które dawały przedstawienia amatorskie i t. d.

Początek był zrobiony, lody obojętności przełamane, stosunki z mieszkańcami miasta nawiązane, inicjatorzy nowego ruchu zyskali sobie szacunek i zaufanie jako zawodowcy i jako działacze społeczni.

(Dok. nast.) STANISŁAW KOZICKI

[2]) Informacja od Z. Wasilewskiego.

[3]) Wiadomości te czerpiemy ze wspomnień rękopiśmiennych p. Feliksa Wąsowskiego.

NA WIDOWNI

Jak wygląda życie w literaturze powieściowej. — Powieść wiatrem podszyta i psychologią. — Na dziesięć osób we wsi polskiej 5 kryminalistów, jeden świątobliwy i jeden „poeta". — Największym zbrodniarzem młody dziedzic. — O stylu w literaturze.

ZOBACZYMY, co z tego wszystkiego wyniknie. Na razie, póki jest cisza — zamiast się bawić w proroctwa, plotkować czy pokrzykiwać — przeczytajmy dla uspokojenia serca, zmyśloną powieść. Nęci tytułem swoim świeżo wydana, nagrodzona przez Akademię Literatury na turnieju talentów młodych, powieść Jerzego Andrzejewskiego „Ład serca".

Od kogóż zaczerpnąć ochoty do życia, jeśli nie od pisarza młodego, otwierającego przed wyobraźnią narodu perspektywy dróg ku ideałowi. Młodości, porwij nas jeśli nie entuzjazmem, to świeżością swego wejrzenia w dodatnie możliwości naszych sił!

Doznałem wszakże zawodu. Powieść pana Andrzejewskiego wydała mi się obcą ze sposobu widzenia życia, z tematyki i z problematyki. Pisałem już niej w „Kurjerze Poznańskim", ale pozwolę sobie i tutaj poddać ją pod sąd czytelników. Wydaje mi się, że jest bez stylu dlatego, że autor nie zamknął się z tematem sam na sam i zamiast bezpośrednio dotknąć się życia, szukał stylu po cudzych utworach beletrystycznych.

Opisane w powieści wypadki dzieją się w ciągu jednej nocy. Sztuka opowiadania polega na tem, żeby pokazać, ile można opowiedzieć o kilku godzinach nocnych w głuszy wiejskiej, gdzie normalnie nic się nie dzieje nawet w dzień.

Ciężki sen nawiedził autora. Przyśniła mu się noc październikowa w okolicy białoruskiej. Na przyrodzie i ludziach leży tutaj zawsze cień smutku, a cóż dopiero w dżdżystą i wietrzną noc jesienną! Idziemy jednak z autorem w krąg jego widzeń z całem zaufaniem do młodych jego oczu.

Żeby sobie zdać sprawę z przeżyć tej ciężkiej nocy, muszę naprzód wypunktować siatkę samych zdarzeń. Rzecz dzieje się w Sedelnikach. Autor mówi o nich jako o wiosce małej, położonej wśród lasu sosnowego i błot. Z akcji jednak widzimy, że nie brak tam takich instytucyj, jak poczta, szkoła i posterunek policyjny. We wsi jest kościół katolicki, przylega do niej dwór ziemiański, gdzie w pałacu mieszka dziedzic z synem, obsługiwany przez lokajów. Pośrodku wsi—szynk, liczący widać na zamożną publiczność, skoro gospodarz utrzymuje tam sprowadzoną z Warszawy „girlsę", która rozwesela gości śpiewem... W lesie — leśniczówka, w zagajniku — szałas.

Wymienię jakichś dziesięć osób, puszczonych w akcję powieści, a rozmieszczonych w powyżej zaznaczonych punktach: 1) Na plebanii ks. Siecheń, proboszcz, ze swym wychowańcem 14-letnim Michasiem, 2) w pałacu p. Giejżanowski Seweryn, młody dziedzic, 3) w biurze policji — posterunkowy Nawrocki (z Warszawy), 4) szynkarz Litowka, no i owa *mulier probrosa* — Anna, 5) w leśniczówce — gajowy Siemion, jego żona Taisa i dziecko, 6) w szałasie ukrywa się bandyta Morawiec, 7) gdzieś po drodze do lasu — trup drugiego bandyty, Buraka.

Akcja powieści toczy się od zmroku przez noc do poranka. Ciemno, choć oko wykól, deszcz i wicher porywisty. W taką porę źle się czują i sosny o słabych korzeniach i ludzie o złych skłonnościach. Sytuacja o zmroku jest taka. Gajowy Siemion, przywalony sosną i przyniesiony do domu, jest umierający; wieś poruszona jest wiadomością, że bandyci urządzili gdzieś napad i zabili dwie osoby, w pościgu zaś zabity został ów Burak, a drugi bandyta zbiegł do lasu. Szynkarz Litowka jest też bandytą. Okradł niegdyś z łupu swego towarzysza Morawca i za te pieniądze założył szynk. Ponieważ przypuszcza, że policja już wie o tem, postanawia tej nocy zabić posterunkowego. Młody dziedzic Giejżanowski niepokoi się tem, że tenże Nawrocki zna jego sprawki. Mianowicie ów zabity Burak był u niego niedawno lokajczykiem i za jego (panicza) namową okradał starego dziedzica z pieniędzy. Burak stał się bandytą z jego szkoły. To też Seweryn Giejżanowski również postanawia zabić Nawrockiego. Obaj, on i Litowka, mają to zrobić o godzinie 10 wieczór, nie wiedząc o sobie, a wiedząc tylko tyle, że o tej godzinie ma przyjść do Nawrockiego Anna. Nawrocki mieszka za wsią w odludnej chacie. Owa godzina— to punkt kulminacyjny na zegarze powieści.

Mały Michaś jest przyjacielem gajowego Siemiona. Dowiedziawszy się w szkole o jego nieszczęściu, zawiadamia o tem swego opiekuna i prosi, aby do niego szedł i na śmierć dysponował. Świątobliwy ks. Siecheń podążył przez las do leśniczówki. Podczas gdy przebywa u łoża chorego, Taisa, nieprzytomna z rozpaczy, dostaje się mimo woli w objęcia brata męża, do którego już przedtem miała skłonność. Gdy tej nocy mąż umarł, z rozpaczy zabija dziecko i siebie. Uratowano ją jednak: ze szpitala wzięto ją potem do więzienia.

Ks. Siecheń zaś, wracając w ciemnościach przez las, usłyszał jęki. Oto Morawiec, nękany gorączką głodową, porzucił szałas i zabłąkawszy się, ugrzązł w bagnie. Tonącego wyciągnął z błota ks. Siecheń, odprowadził do szałasu i po długiej z nim, konfesjonalnej rozmowie wracał do domu. W lesie usłyszał głos kobiecy.

Było to już po 10. Anna, a za nią czający się na ofiarę Litowka, zastali Nawrockiego już martwego. Uprzedził ich młody dziedzic. Anna dostała ataku nerwowego: jak obłąkana biegła przez las i upadła. Natknął się na nią ks. Siecheń. Zdawało mu się, że rozpoznał w niej ową Annę, którą niegdyś w młodości kochał, jeszcze jako żołnierz, i porzucił. Wstrząs sumienia tą zjawą wywołany nie daje mu spokoju. Po krótkim pobycie na plebanii, po dziwnej scenie z Michasiem, postanawia odszukać Annę tejże nocy i upewnić się co do jej tożsamości. Świtało już, gdy wracającego od Anny ks. Siechenia — nieprzytomnego z powodu gorączki — odnalazł bandyta Morawiec. Odniósł chorego na plebanię i zapewne sam oddał się w ręce sprawiedliwości.

Scena z Michasiem polegała na tem: podczas nieobecności księdza przyszedł na plebanię koło godz. 8 ów zbrodniarz, dziedzic Giejżanowski. W krótkiej rozmowie z Michasiem otworzył przed chłopcem perspektywy wolności, „uświadamiając" go w sprawach miłosnych. Chłopiec, który dotąd żył pragnieniem świętości, zbuntował się i zanim opiekun wrócił — zamiast iść spać — pisał wiersz liryczny. Pierwszy wiersz. Urodził się poeta.

Opowieść kończy się rankiem. Annę i jej Pochronia (Litowkę), podejrzanych o zabójstwo Nawrockiego, prowadzą skutych do więzienia. Orszak ten mija się po drodze z powozem młodego dziedzica. Morderca na ukłony odpowiada z uśmiechem. Wyjeżdża na kolej, ma paszport, udaje się za granicę kończyć studia naukowe...

Obliczmy statystycznie plon tej strasznej nocy jesiennej. Z dziesięciu osób, które poznaliśmy w powieści, 4 padło trupem (40 pct), cztery osoby wzięto do więzienia, bo pewno i Morawiec się poddał (40 pct), jeden morderca uciekł zagranicę (10 pct), jeden kosztem tamtych został... poetą (10 pct). Pozostał ks. Siecheń, ale nie wiadomo, czy żyje. Przykro mi było włączać go do rachunku.

Czytelnik nigdy przedtem nie wyobrażał sobie, że cicha wioska na kresach polskich potrafi tak intensywnie się „wyżywać", zarówno w kierunku poszukiwania Boga *(bogoiskatielstwo)*, jak szatana, i że z tego wysiłku jedynym plonem pozytywnym jest — poezja. Czytelnik jednak łatwo się zorientuje, że powieść p. Andrzejewskiego wybiega poza skromne zamierzenia obrazu regionalnego. „Ład serca" — to eksperyment literacki, w którym geografia czy demografia nie grają żadnej roli. Autor zebrał w całość pewną ilość zagadnień literackich, poruszonych w najnowszych powieściach krajowych i obcych. Jego światem jest literatura nie życie; ona zaludniła jego wyobraźnię postaciami osób i faktów, które łącznie dają powyższy obraz statystyczny. Młody autor nie miałby przecież czasu ani sposobności przeżyć osobiście tych zdarzeń i tych stanów psychicznych (od świętości do najgłębszego upadku): materiał zawdzięcza literaturze i to najbardziej rozgłośnej. Gdyby nie Bernanos, nie byłoby ks. Siechenia. Chłopięcy poeta Michaś — to „Srebrem pisany" Zegadłowicz. Litowka i jego branka Anna — to reminiscencja Pochronia i Ewy Żeromskiego; z tychże „Dziejów grzechu" dystyngowany Nawrocki. Pomysł zaś konstrukcji powieściowej wzięty od Choromańskiego z „Zazdrości i medycyny", mianowicie owo ześrodkowanie fabuły według zegarka i podszycie jej wiatrem.

Od początku do końca grubego tomu powieści, na każdej stronie autor dodaje do pejzażu nastrój wiatru, mając ciągle na myśli zamiar artystyczny tonowania w ten sposób obrazu w jedną całość. Akcja, jak widzieliśmy, toczy się w kilku kierunkach, wszystkich zaś łączy, jako mianownik, łono przyrody. Żadnych społecznych połączeń między ludźmi autor nie daje. Jest to gromadka indywidualności, rzuconych z wiatrem w przyrodę bez żadnego tła społecznego.

Każda zaś z tych jednostek jest ofiarą swych podświadomych stanów duszy. Każdą z nich autor uzasadnia wspomnieniami rzeczy przez nią przeżytych. Stąd ciągłe dygresje w przeszłość, co sprawia, że lektura jest bardzo nużąca.

Powieść, tak wciągająca czytelnika w głębiny dusz, robi wrażenie psychologicznej. Ideologicznie — jeśli chodzi o to, co autor chciał pokazać, czego dowieść — jest niejasna. Determinizmowi zbrodniczości dziedzica Giejżanowskiego zdaje się pomagać jakaś tajemna siła demoniczna. On sam nie wie, dlaczego popełnia zbrodnie; decyzja następuje w stanie omdlenia, co pozwala mu zachować „dobrą formę" podczas zbrodni, jakby zabijał kto inny.

Dusza ludzka w tych warunkach przedstawia się jak trzęsawisko błotne, wobec którego bezsilna jest istota moralna człowieka. Z drugiej jednak strony są wypadki (ks. Siecheń) nawiedzenia Łaski, dźwigającej tę istotę do wyżyn świętości. Osiąga się tę świętość przez pokorę. Ks. Siecheń, uratowawszy z bagna zbrodniarza Morawca, gdy ten mu wyznał, kim jest, ucałował jego rękę, korzył się przed jego nieszczęściem i zrzekł się sądzenia jego czynów. Czytelnik ma prawo mieć wątpliwości, czy to nie zbytnia dowolność rozumienia katolicyzmu.

Całość dzieła, przewlekle i ciężko neurasteniczna, pozwala sobie na jedyne ironiczne spojrzenie, mianowicie w samym tytule książki: Ład serca!

Jeśli chodzi o morał krytyczny, to ucieknę się dla skrócenia (bo miejsca już niema) do takiego przykładu:

P. Andrzejewski w scenie urodzin geniusza Michasia *(à la* Zegadłowicz), gdy chłopiec jak opętany wierzga na swoją dotychczasową świętość, wkłada w usta ks. Siecheniowi tylko te słowa:

— Moje dziecko, moje dziecko...

Przypomniała mu się widocznie scena z „Anielki" Prusa, kiedy ta dziewczynka wzrusza tak spowiednika, że ten nie jest w stanie mówić, a te dwa słowa, które z siebie dobywa, wydają się czytelnikowi jak skrzydła, na których duszyczka dziecka ulata ku Bogu. Podziwiałbym człowieka, któryby tę scenę przeczytał bez łez w oczach, nie umiałbym przeczytać jej głośno, boby mi głos załamał się. Czemu ten efekt przypisać? Oto temu, że czytelnik swoje własne wzruszenie odczuwa w księdzu i płacząc z nim razem nie umiałby nic innego powiedzieć, jeno te słowa najczulsze: moje dziecko. I dzieje się w duszy czytelnika wielkie wezbranie miłości i dla dziecka i dla księdza... i dla autora, który te święto sercu naszemu sprawił. Oto czar artyzmu, płynący z podania prawdy żywej, odczutej bezpośrednio.

Scena „Ładu serca" efektu tego nie robi. Dlaczego? Bo czytelnik radby schwycić Michasia za ucho i dobrze je wykręcić, a następnie wyrzucić chłopca za drzwi. A że nie widzi zachęty ku temu w księdzu, więc nie rozumie jego słów, raczej ironizuje z jego spekulatywnej świątobliwości tak, jak przy owej scenie, kiedy ksiądz całuje zbrodniarza w rękę. Słowem czytelnik nie czuje w nikim swej kongenialności ani z bohaterami powieści ani z autorem. Mam na myśli czytelnika kulturalnego.

Otóż słabą stroną powieści jest brak kontaktu z człowiekiem kulturalnym, dla którego jedynie warto pisać powieść. J e s t t o r ó w n o z n a c z n e z b r a k i e m s t y l u w t w ó r c z o ś c i. Koncepje artystyczne Choromańskiego, Żeromskiego, Bernanosa, Zegadłowicza — o ile miały w sobie coś bezpośredniego w odczuwaniu człowieka — mogły być w takim czy innym stopniu każda z osobna — stylowe. Wszystkie razem skrzyżowane wytwarzają rzecz nie rasową bez stylu. Takim tworem jest kundel.

Wszystkim Michasiom, rwącym się do wolności tworzenia, przyklasnąć trzeba: więzy rwij — moje dziecko — ale po drodze do prawdy nie wikłaj się w sieci cudzych wzorów literackich.

ZYGMUNT WASILEWSKI

ORNITOLALIA

I. RANEK

W zielone koszule
Ubrały się krzaki,
Kukają zozule,
Pogwizdują szpaki,
Stu wróbli janczarska
Ostro rżnie kapela,
Ziemia śmiechem parska
Zielonego ziela,
Wśród zielonej mgiełki
Ćwierkają szczygiełki,
Sikorki, czyżyki,
Zięby, kowaliki,
Sroki, kosy, kawki,
Dzięcioły, turkawki
Świergoczą, grzegoczą,
Rzempolą, gędziolą,
Brzękają, cykają,
Fiukają, kląskają,
Dzwonią, kwilą, pleszczą,
Skrzeczą, piszczą, wrzeszczą,
A kogut na trąbce ranny hejnał gra:
— Światowitowi cześć! tra-tata-ta! trata-ra!

II. POŁUDNIE

W polu zielono,
W lesie zielono,
Łąki w zielonej
Powodzi toną.

Ponad zielonym
Soczystym żytem
Niebo niebieskim
Lśni się błękitem.

A u kopuły niebieskiej szczytu
Szary skowronek mdleje z zachwytu
I z roztopionych w powietrzu tryli
Słychać już tylko: ti-rli - rli - li - li...

III. WIECZÓR

Mierzchną niebiosa,
Opada rosa
Na zieleń traw,
Już śpi sad stary
I cichną gwary
Człowieczych spraw.

(Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy...)

Księżyca sierpem noc ścina kwiaty,
A z nieba zlewa gwiazd aromaty.
Lulaj, lulaj, ziemio,
Już i gwiazdy drzemią....

I nagle wielką ciszę potarga
Słowiczych żalów rozlewna skarga,
Srebrny, perlisty, szklany, rozdzwoniony szloch:
Ti-och, ti-och, ti-och, ti-och, ti-och,
Bulbul, Filomelo, ro-ro-ro-ro-ro,
Ssi-ssi, ro-ssi, ro-ssi, ro-ssi,
Ńol, ńol, ńol, ńol, ńol,
Och! och! och!!!

ARTUR CHOJECKI

KULISY HISTORII

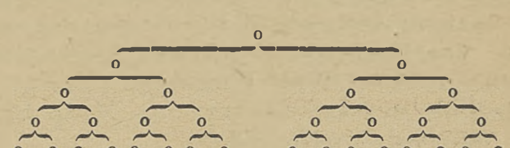
GDY SIEDZIAŁEM w więzieniu, wpadła mi przypadkiem w ręce nieduża książeczka p. t. „Żywot ks. Adama Czartoryskiego", pożyczona z biblioteki więziennej. Autor— Józef Bieliński. Miejsce wydania—Warszawa 1905.

Książka ta rzuca ciekawe światło na genezę Konstytucji 3-go Maja. Czytamy w niej o memoriale, znajdującym się w Archiwum rodzinnem ks. Czartoryskich w Krakowie. Memoriał ten wyszedł z pod pióra ks. Adama Czartoryskiego, przyszłego przyjaciela cara Aleksandra i niekoronowanego króla Polski na emigracji po powstaniu listopadowem, syna słynnego Generała Ziem Podolskich.

Historia tego memoriału była następująca: w r. 1788 bawił ks. Adam, mający wówczas lat 18, w Paryżu, gdzie znalazł się pod opieką ks. Piatolego, przebywającego nad Sekwaną w charakterze wychowawcy jednego z młodych Lubomirskich. Na te niewątpliwie czasy przypada wysokie wtajemniczenie masońskiego Piatolego, które pozwoli niebawem jemu, włoskiemu przybłędzie, na odegranie w Polsce dominującej roli w dyskretnym charakterze sekretarza królewskiego. Pod jego to dyktandem ks. Adam Czartoryski spisał memoriał o treści następującej (cytuję za Bielińskim):

„Czterech najbardziej wpływowych ludzi w Polsce, dobrych patryotów, bogatych, światłych, tworzą *Quatuorvirat*, związany przysięgą i tajemnicą. Ci kierują całą sprawą. Do pomocy wybierają ośmiu[1]) członków, również możnych i wpływowych obywateli i łącznie z nimi stanowią Kongres patriotyczny. Pierwszem zadaniem tego kongresu: skonfederowanie wszystkich województw, zawładnięcie wszystkich wojsk, zupełne pominięcie rządu krajowego; przeprowadzenie wyborów w całym kraju, wyborów niezależnych od króla i ościennych mocarstw. Gdy to wszystko będzie już zrobione — powinien się zebrać Sejm skonfederowany, zdala od stolicy, najlepiej w rezydencji jednego z członków *Quatuorviratu*.

[1]) W pismach pozostałych po Weisshaupcie (twórcy masońskiego zakonu Illuminatów. (Cytuję za Nesta H. Webster, *Secret Societies and Subversive Movements)* znajduje się diagram z następującem objaśnieniem:



„Mam dwóch bezpośrednio podemną, którym wpajam *(einhauche)* mego całego ducha, i z tych dwu ma znów każdy dwu innych i t. d. W ten sposób mogę w najprostszy sposób tysiąc ludzi wprawić w ruch i rozpłomienić *(in Flammen setzen)*".

Koncepcja Piatolego: czterech ludzi kieruje ośmioma, odpowiada ściśle powyższym zasadom. Trudno wątpić, jakoby Piatoli nie był Illuminatem, delegowanym do „opieki" nad Polską (jak wiadomo, na Kongresie Illuminatów we Frankfurcie w r. 1786 postanowiono rewolucję we Francji i śmierć Ludwika XVI).

Dziś przeszła masoneria, jak się zdaje, z systemu dwójkowego Weisshaupta na system trójek i piątek. Możliwe jednak, że na samej górze system dwójkowy obowiązuje nadal.

Sejm winien postanowić utworzenie z milicji stutysięcznego wojska, wyznaczyć dwóch regimentarzów, jednego dla Korony, drugiego dla Litwy, i wreszcie urządzić Komitet Nadzwyczajny. Ten Komitet ma powierzone sobie ogólne kierownictwo spraw publicznych, z mandatem aż do przyszłego Sejmu. Komitet ten to prawie dyktatura. Niezależnie od powyższych, będzie sformowana osobna Komisja, która się zajmie ułożeniem planu naprawy Rzplitej.

W tym celu Komisja zażąda od obywateli państwa przedstawienia sobie planów, projektów, myśli — odnośnie przyszłej reformy [2]). Z tych referatów wyłoni się projekt konstytucji, rozpatrzeniem którego zajmie się przyszły Sejm. We wszystkich tych komitetach mieli zasiadać członkowie *Quatuorviratu,* oni mieli być osią wszystkiego.

„Oprócz powyższych czynności *Quatuorvirat* powinien był się zająć wysłaniem od siebie, również w tajemnicy, mężów zaufania do wszystkich państw europejskich. Ci wybrani nie mieli charakteru urzędowego, nie powinni byli komunikować się z własnym rządem. Kwalifikowali się na owych mężów zaufania ludzie wyższych sfer, światli, towarzyscy i odpowiednio pod względem dyplomatycznym przygotowani... Ostatnią czynnością Komitetu nadzwyczajnego miało być utworzenie najlepszej, najodpowiedniejszej formy rządu, zawarcie traktatów i ustalenie zagranicznej polityki”.

Program ten został ściśle wykonany. Że celem jego miał być upadek Polski, tego Piatoli nie podyktował ks. Czartoryskiemu, lecz wolno nam przypuszczać, że właściwi inicjatorzy ten właśnie cel mieli na oku.

Kto należał do *Quatuorviratu*? Zdani jesteśmy na domysły. Do najściślejszego kółka, układającego Konstytucję 3-go Maja, należeli: Ignacy i Stanisław Potoccy, Weyssenhoff, Mostowski, ks. Jezierski, Staszic, Dmochowski, Stanisław Małachowski, Kołłątaj, Piatoli. Z tym zespołem, który zwano popularnie „Kuźnicą” Kołłątaja, współpracował również król. Była to zapewne „Komisja” do naprawy Rzplitej, przewidziana powyższym planem. A może był to sam „Kongres Patriotyczny”? Któż należałby w takim razie do *Quatuorviratu*? Zapewne Ignacy Potocki i Małachowski, może Mostowski, może Weyssenhoff? Szukajmy teraz tych dwu ludzi wyższych ponad *Quatuorvirat*, w myśl wykresu Weisshaupta. Nasuwają się tu dwa nazwiska głównych reżyserów ówczesnej polskiej rzeczywistości: Piatolego i Kołłątaja. Trudno jednak przesądzać sprawę. Może to byli jedynie podrzędni wykonawcy.

Kto stał na czele piramidy? Nie mam co do tego żadnych danych, pozwalających na snucie przypuszczeń. Zapewne należałoby tu już sięgnąć do najściślejszego koła Illuminatów, kierującego polityką świata.

ADAM DOBOSZYŃSKI

[2]) Jak wiadomo, rewolucja francuska zaczęła się od przedłożenia przez wszystkie gminy t. zw. „*cahiers de doléances*“.

Z OBCEGO ŚWIATA

NIEMCY W KONTRATAKU

W POPRZEDNIM numerze „Myśli Narodowej” pisaliśmy, że „...brytyjska dyplomacja, która zdawała się nie wytrzymywać dotychczasowego tempa, poczęła z nagła sama tempem zadziwiać, notując na giełdzie politycznej coraz to nowsze sukcesy”. Rozgrywające się wciąż wypadki uwydatniły słuszność naszego sądu, czego najlepszym dowodem jest przejście Niemiec do kontrataku.

Nad faktem tym należy się nieco zastanowić.

Teoria taktyki mówi, iż w rozgrywce ten ma gorszą sytuację, kto musi się swą pozycją przystosowywać do pozycji, którą mu narzuci przeciwnik, ten ma zaś lepszą sytuację, kto ma pełnię inicjatywy.

Niewątpliwie, Niemcy zmuszone są dzisiaj do reakcji, przechodzą do kontrataku właśnie z narzuconej im pozycji. Oby jej zmienić nie mogły!

Trzecia Rzesza odpowiada na próbę „okrążenia”. Odpowiadając perfidnie na wezwanie Roosevelta, zapytuje państwa, czy czują się jej agresją zagrożone. Przypomina to do złudzenia zabawę w „czarnego luda”, co, zresztą, podchwyciła już satyra polityczna. Oczywiście ambicja narodowa nie pozwala na przyznanie się do zagrożenia; na wyzyskaniu tej ambicji polega perfidia Niemiec.

Akcja Berlina, zmuszona obecnie do wyrzeczenia się agresji terytorialnych, rozpoczyna próby z metodą agresji gospodarczej, szczególną mającą wagę dla uprzemysłowionych Niemiec, duszących się z powodu *sui generis* sankcji ze strony Anglii, Francji a szczególnie Stanów Zjednoczonych. Metod tych próbowano zresztą i przed zajęciem Czech, dowodem podróż na Bałkany Funka. Trudno tu nie zanotować pewnych sukcesów niemieckiej polityki gospodarczej — układ handlowy z Rumunią daje wiele do myślenia. Wprawdzie min. Gafencu oświadczył w Brukseli, że Rumunia nie przystąpi do żadnych z wielkich bloków imperialistycznych, ale obiecała Rzeszy surowce w zamian za artykuły przemysłu i — w pewnym sensie — organizację gospodarki. Więcej na razie Niemcom nie potrzeba....

W Berlinie bawi zresztą nie tylko rumuńska delegacja gospodarcza, ale i litewska, nie mówiąc już o lennikach Słowakach. Wkrótce odwiedzić ma Berlin i premier węgierski.

Gromadzenie surowców przez Niemcy to przygotowanie do starcia zbrojnego. Zdają sobie z tego sprawę zarówno Francja i Anglia, to też i one prowadzą z Bukaresztem rozmowy. Dnia 31-go marca został zawarty francusko-niemiecki układ gospodarczy, na podstawie którego Francja zakupiła ostatnio 25 procent eksportu rumuńskiej nafty.

Włochy, nie prowadzące obecnie samodzielnej polityki, ale odgrywające rolę t. zw. „prawej ręki” III-ej Rzeszy, montują w szybkiem tempie Bałkany, zajmując się szczególnie Jugosławią. W Wenecji odbyła się konferencja między hr. Ciano a Markowiczem. Czyżby Jugosławia miała odegrać obecnie rolę Bułgarii, doczepionej czasu Wielkiej Wojny do państw centralnych? I czyżby losy Bułgarii nic a nic Jugosławii nie nauczyły?

A propos Jugosławii i Bułgarii. W Serajewie manifestowano na rzecz połączenia najściślejszego tych dwóch krajów. Jednocześnie prowadzone są rokowania między Białogrodem a Budapesztem w sprawie zawarcia paktu o nieagresji z tem, że Węgrzy zrzec się mają pretensji terytorialnych w stosunku do Jugosławii. Przypomnijmy sobie w tym momencie sprawę powrotu do Węgier Słowacji i Rusi Podkarpackiej. Cofnijmy się następnie do czasów wielkiej wojny. I jeszcze wstecz, a przyznamy, że na przestrzeni całej historii Węgry stale płaciły, i to diablo drogo za swe związki germańskie.

MUSSOLINI „UKORONOWANY"

SPECJALNA delegacja przybyła do Rzymu z adresem, prosząc króla Italii o przyjęcie korony Albanii. Inny adres dziękuje Mussoliniemu za dobrodziejstwo wkroczenia do Albanii. Jeszcze inny adres, najświeższej daty, nadaje Mussoliniemu honorowe obywatelstwo wszystkich miast albańskich.

Jak się robi takie adresy — wiemy. Przemoc jest zawsze przemocą, a wtórnymi jej przejawami są serwilizm i oportunizm. Jedno pytanie — czy owe „honorowe" obywatelstwa wszystkich miast albańskich dały wodzowi Włoch faszystowskich satysfakcję? A jeśli tak, to jakiego gatunku jest ta satysfakcja?

Pytanie ważne. Faszyzm miał dużo uroku, którym podbijał świat. Faszyzm jeszcze przed przejawami imperializmu terytorialnego, imperialistyczny był już przez zasięg swoich idei. Rozumiemy potrzebę aneksji terytorialnych, chociażby tylko dla wzmocnienia samopoczucia, ale czy ukoronowaniem ma być akt honorowego obywatelstwa podbitych, upokorzonych? Uroczyste triumfy starożytnej Romy nie znały aktu „honorowego niewolnika".

Nie ma co, zwierciadło, w którem ostatnio każe się przeglądać faszyzm starej Romie, jest krzywem zwierciadłem, z lichego, nie weneckiego bynajmniej, szkła. No i trzymanie owego zwierciadła wespół z germańskim barbarzyńcą!... B.

NAUKA I LITERATURA

KULTURA I NATURA

LUDZKOŚĆ współczesna, zmęczona miejską cywilizacją, w żywiołowym już dziś, zwłaszcza wśród młodzieży pędzie wraca do porzuconej niebacznie natury. Dławiący koszmar techniki na dłuższą metę staje się trudny do zniesienia, przytem w tym stopniu ogranicza horyzont wyobraźni, odcina ją od źródeł wiecznie młodej energii, tryskającej swobodnie w niewięzionych murami przestrzeniach, że — zrozumiałą niekiedy staje się nawet instynktowna nienawiść, żywiona od dołów wobec pomników cywilizacji, znajdująca upust w dziełach zniszczenia.

Powrót za Rousseau do stanu pierwszej dzikości przysporzyłby jednak jeszcze udręki, zamiast wyzwolić od niej. Eksperymenty russowskie skompromitowały doktrynę, głoszącą wychowanie pokolenia na poziomie życia stworzeń. Naturalizm zbankrutował zarówno w etyce jak i w pedagogice, a także w estetyce.

Dopiero świadomy powrót człowieka na poziomie kultury na łono matki — natury, pokorny podziw i zachwyt w obliczu Bożych tajemnic, dostępnych jedynie wśród wyniosłych szczytów i krzesanic albo na słonych ścieżkach morskich, są w stanie zmyć z plemienia ludzkiego śmiertelny grzech przeciw prawom i nakazom natury, powrócić nas do życia zasilanego niewyczerpanemi nigdy zdrojami natchnienia i łaski niewinności, nie obniżanego przecież do pierwotnej dzikości, uszczęśliwiającej jedynie zwierzęta.

Bliskość wobec przyrody nie może graniczyć z wulgarną i pewną siebie poufałością; cud piękna zaklętego w odwiecznej rzeźbie Stwórcy nie jest towarem, który można nabyć choćby po wygórowanej cenie, ażeby potem korzystać „za swoje pieniądze", po barbarzyńsku a nie celowo ze skarbów deptanych kanibalską stopą.

Właściwe obcowanie z przyrodą ma raczej w sobie coś z ćwiczeń duchowych, poprzedzających dostąpienie najwyższej łaski i pełnego — o ile to możliwe — poznania. Konieczne jest tutaj przezwyciężenie i oczyszczenie wewnętrzne, którego dostępujemy nietylko spłukani bryzgami morskich pian i zmęczeni trudnemi problemami wspinaczki. Czynnik sportowo-treningowy bynajmniej w danym wypadku nie przesądza sprawy; nie chodzi przecież o samą zaprawę, ale przy jej pomocy o odnalezienie mocy heroizmu, której człowiek nie przeczuwa w sobie, póki nie zmierzył się z wielkością gór i z głębinami mórz, po których przechadzają się niespokojne wiatry. Więc nie ułatwienia, nie „wyciągi" i kolejki linowe staną się właściwie dobraną metodą pedagogiczną w ogólnym systemie wychowania narodowego. One, przeciwnie odbiorą sportowi alpinistycznemu i wysokogórskiej turystyce ich rycerski pierwiastek, a z niedostępnych lub trudno osiągalnych zakątków uczynią deptak, dostępny dla każdego burżuja, odarty z czaru tajemnicy, zbrzydzony dotknięciem brudnych dłoni.

Idea rezerwatów przyrody, pozostających poza zakresem działania spółek i towarzystw eksploatujących... wschody i zachody słońca i nieśmiertelne piękno niedostępnych przepaści, — to idea chramu, do którego wstęp wolny tylko po uprzedniem obmyciu zapylonych stóp i przebyciu okresu oczyszczającej próby.

Takie myśli rodzi wspaniała praca Michała Pawlikowskiego [1]), nietylko znanego poety i krytyka, ale i niemniej świetnego montanisty, przytem znającego góry nie z ilustracyj ale z własnych wypraw na lodowce alpejskie i nagie skały Tatr. Idea pionierska gór, jako czynnika przełomu w duszy dążącej do życia heroicznego, przechodzi tutaj w spadku po wielkiej pamięci uczonym i krzewicielu kultury, niedawno zmarłym Janie Gwalbercie Pawlikowskim. Jemu też przypisał autor swą książkę, w której, w szeregu rozpraw—rozdziałów z pogranicza estetyki i historii kultury, przeszedł zasadnicze problemy, jakie przed ludzkością postawił... łańcuch górski, wyrastający zaporą i tajemnicą przed utrudzonemi stopami pielgrzyma i mirzy-przewodnika.

Godne specjalnej uwagi jest głębokie spostrzeżenie odrębności problemu — morza i gór — znajdującej odbicie nietylko w literaturze, ale, co ciekawsze — w historii narodów, żyjących za wyniosłą zasłoną szczytów w odcięciu od reszty świata, albo — naodwrót, bratających się na skrzydłach żagli z najodleglejszemi ludami.

Wszechstronna znajomość plastyki ułatwia autorowi przegląd malarstwa na przestrzeni dziejów kulturalnych Europy, rozpatrywanego jako zwierciadło świata górskiego.

Walory książki znakomicie podnoszą właściwie dobrane ilustracje.

St. JÓZEFOWICZ

---

[1]) Michał Pawlikowski. Góry i człowiek. (Rozdział z historii kultury) 1939. Wydawn. „Ligi Ochrony Przyrody" w Warszawie, „Biblioteki Medyckiej" w Medyce i „Zakładów Tow. św. Michała Archanioła" w Miejscu Piastowem Bibliot. Med. op. 15. Str. 107.

ZE ŚWIATA MUZYKI

NA MARGINESIE FESTIWALU MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ

W PIĄTEK ubiegły zakończył się XVII-y festiwal muzyki współczesnej, po raz pierwszy obchodzony w Warszawie. Dziwnem losu zrządzeniem powyższa uroczystość muzyczna odbyła się w okresie największych w świecie zbrojeń, największego napięcia nerwów. Czynny współudział przedstawicieli kultury muzycznej dwudziestu państw był niejako dowodem, że istnieje płaszczyzna, na której łatwo jest dojść do wzajemnego zrozumienia, porozumiewając się wspólnym językiem dźwięku. Muzyka, może najbardziej ze wszystkich sztuk pięknych abstrakcyjna, jest tą płaszczyzną, na której skłócone ze sobą narody znaleźć mogą chwilę beztroskiego zachwytu i zapomnienia o niepewnem jutrze. To też Festiwal obchodzony w Polsce miał, dla mnie przynajmniej, swoje, bardzo symboliczne znaczenie. Urósł on, dzięki wysokiemu poziomowi wybranych utworów i współdziałaniu najcelniejszych wykonawców do rozmiarów wielkiego, uroczystego obchodu międzynarodowego.

Ośm wieczorów, wypełnionych przez rozliczne kompozycje z epoki współczesnej, niełatwo dadzą się omówić w ramach krótkiego z konieczności sprawozdania. Zgrupujmy więc usłyszane dzieła w cykle. Było ich conajmniej trzy. Pierwsza grupa, może najliczniej reprezentowana, to — muzyka symfoniczna. Poświęcono jej trzy audycje w wielkiej sali Filharmonii. Druga grupa, to utwory muzyki kameralnej (jak chcą niektórzy — „komnatowej"), przybytkiem której było nasze Konserwatorium. Trzecia, to przegląd retrospektywny muzyki polskiej w Krakowie. Oprócz grup powyższych dorzucono *ad usum* gości z zagranicy: koncert muzyki polskiej i przedstawienie baletowe w Teatrze Wielkim.

Przechodząc do bliższych omówień treści muzycznej festiwalu, należy przedewszystkiem podkreślić jego krańcową wspóczesność. Mam przez to na myśli sam wybór utworów. Dawniej uczono nas, że utwór muzyczny, o ile ma zasługiwać na to miano, winien się składać z elementów melodii, rytmu i ekspresji. Ponadto każdy uczeń konserwatorium wie, że melodią musi być każdy rysunek dźwiękowy foremny, raczej miły, niż nieznośny dla ucha, łatwo uchwytny. Stąd za wzór melodii, jako czynnika składowego (bodaj że najważniejszego) nie można uważać pochodów gamowych, bądź też przykrych progresji dysonansowych. Obok melodii, jako czynnika podstawowego w kompozycji musi istnieć jej logiczny rozwój, czyli tematyka. Równolegle z melodią idzie szkielet rytmiczny czyli ustosunkowanie do siebie dźwięków w czasie.

Wreszcie — ekspresja, nadająca właściwy wyraz kompozycji. Tak, jak nie sposób jest wyobrazić sobie malarstwa bez barwy, ani rzeźby bez należytych proporcji, niemożliwą do zrozumienia rzeczą jest istnienie dzieła muzycznego bez melodii. A jednak — wystarczy przysłuchać się obu koncertom symfonicznym szczęśliwie minionego Festiwalu, aby pojąć, że takie anomalie nietylko istnieć mogą, ale — w myśl statutu festiwalowego — obowiązują każdego naprawdę „współczesnego" kompozytora, jako warunek *Sine qua non*. Byle jaknajwięcej ruchu rytmicznego, jaskrawych efektów dźwiękowych, graniczącej z komizmem dysproporcji formy — *pour épater les bourgeois!* Istotnie, jeśli się uważnie spojrzy na publiczność (tę szarą), słuchającą w skupieniu, wartem lepszej sprawy, przeraźliwych „kakofonii" międzynarodowych, widzi się że nie rozumieją oni nic albo prawie nic. Że porwała ich nie muzyka współczesna, ale potęga jej reklamy. Boć trudno uwierzyć, aby ekscentryka „Uwertury" p. Szałowskiego, lub — zagraniczne koncepcje Michalovici, albo Jiraka mogły się komukolwiek objektywnie nastrojonemu — podobać.

Ucieczka od melodii, będąca, zdaniem piszącego, jedną z zasadniczych cech współczesności w muzyce, jest najbardziej kapitalnym absurdem kompozytorskim. Jak nie przeżyje się nigdy barwa w dziele malarza, tak nigdy nie wyczerpią się środki melodyjne, bez których dzieło muzyczne staje się jakimś niezrozumiałym chaosem, — świątynią bez Boga. Rzecz jest bardziej poważna, niżby można sądzić. Systematyczne wypaczanie muzyki, symptom naszej epoki, zaczyna już zagrażać „wynarodowieniem" młodym kompozytorom polskim. Czegóż można się spodziewać po generacji, wychowanej na takich „wzorach"? Dlaczego się chwali w czambuł elaboraty mózgowe „twórców" współczesnych, czemu nie domaga się w nich tej treści dźwiękowej, bez której muzyka jest czczym i nieznośnym hałasem?

Jeżeli ktoś nie ma nic do powiedzenia, niech raczej milczy, niż wprowadza do bibliotek muzycznych utwory conajmniej dla innych — szkodliwe. Takie naprzykład kompozycje, jak balet Kondrackiego „Baśń krakowska", jak symfonia Riviera nie powinny się były znaleźć w programie. Za to piękna, natchniona (pomimo nowoczesnej faktury) „Kantata romantyczna" Wiechowicza była dla nas rozkoszną odskocznią po zgrzytach. Również i audycja krakowska muzyki kościelnej XVII stulecia, mistrzowsko podana przez zespół chóralny ks. Gieburowskiego wzbudziła zachwyt gości zagranicznych. Nawet „Stabat Mater" Karola Szymanowskiego wydało się arcyniewinne wobec „śmiałych" utworów młodych kompozytorów współczesnych.

Zapytajmy otwarcie, do czego dąży muzyka, na podstawie usłyszanych audycji festiwalowych. Czy ma ona być odartą z pierwiastka piękna, stać się udręką i przekleństwem dla słuchacza? Czy też — w co wolelibyśmy uwierzyć, przeżywa ona wraz z całą Europą ostry kryzys zbrojeń (dźwiękowych), zdąża do ostatecznego wyładowania się, nie przebierając w środkach, wobec czego śmiałe rzuty Karłowiczów i Szymanowskich są niewinną zabawką. Kiedyż — oby najprędzej — odejdą z horyzontu te czarne, gniotące nas chmury brzydoty, a na ich miejscu ukaże się jak ongiś — błękit prawdziwego natchnienia?

ASPER

O ROMANIE DMOWSKIM

ZESZYT pierwszy kwart. „Kultura i Wychowanie" za r.b. przynosi na czele syntetyczną rozprawkę Jana Rembielińskiego p. t. „Dmowski — wychowawca".

Świetny publicysta z właściwą sobie precyzją uwypuklił zasadnicze momenty wpływu wychowawczego Romana Dmowskiego na pokolenie, w szczególności na młodych. Przyczem na wstępie zrobił ciekawe spostrzeżenie z punktu widzenia badania metodycznego.

Oto Dmowski uprawiał praktyczną politykę, a jednocześnie świadomie wpływem swym i wysiłkiem kształtował w obranej formie narastające pokolenia. Te dwie czynności nie łatwo i nie w każdej sytuacji dają się pogodzić. Zwłaszcza w dobie niewoli, gdy społeczeństwo domagało się od swych przywódców gestów patriotycznych, — których z uwagi na obraną przez Dmowskiego taktykę polityczną w żaden sposób odeń nie mogło oczekiwać. Wynikały z tego poważne niekiedy trudności. Tak np. w przededniu wojny światowej i przedsięwziętej wielkiej politycznej rozgrywki (jednocześnie publikacja książki: „Niemcy, Rosja i kwestia polska" — r. 1907) obrana taktyka stała się niepopularna wśród ówczesnej młodzieży, co spowodowało nieposłuszeństwo tajnych jej ugrupowań, podległych również tajnej Lidze Narodowej, wobec swego zwierzchnictwa organizacyjnego.

Kiedyindziej, w epoce rozwoju Obozu Wielkiej Polski po r. 1926, stanowisko wychowawcy młodych pokoleń narodu nie pozwoliło Dmowskiemu przerzucić się do odłożonych

zagadnień polityki bieżącej i sięgnąć po władzę w kraju, wówczas dlań łatwo osiągalną i dostępną.

Wpływ wychowawczy Dmowskiego na pokolenie był różnoraki: poprzez pisma, przemówienia, stworzone i wciąż kształtowane kierowniczo formy organizacyjne i nareszcie przez obcowanie bezpośrednie, rozmowy i kontakty osobiste.

Jako pisarz oddziaływał treścią i formą nieskazitelnie klasyczną, językiem jasnym, stylem prostym, frazeologią rzetelną i naturalną.

Wychowywał w stworzonych przez siebie organizacjach: w konspiracyjnej Lidze Narodowej, w demokratyczno-parlamentarnem Stronnictwie Demokratyczno - Narodowem i w faszystowsko-hierarchicznym Obozie Wielkiej Polski. Działała tam specjalna atmosfera: trzeźwości, krytycyzmu choć i bezwzględnego posłuszeństwa, atmosfera — oduczająca zadawnionych nałogów, romantyczno-wolnomularskich związków i fakcyj.

Jak stwierdzają ci, co znali osobiście Dmowskiego, wpływ jego osobisty był niezatarty i decydujący nieraz o kierunku późniejszego życia. Atut dla niezawodowego choćby pedagoga olbrzymi — i podstawowa, *nota bene* zaleta: — urok osobisty, decydujący o wpływie na innych.

Istotna treść myśli wychowawczej Dmowskiego była następująca: w „Myślach nowoczesnego Polaka" „cały bodaj stosunek jednostki do ojczyzny" wyprowadzał „ze szlachetnej miłości własnej, z wysokiego poczucia godności osobistej..." — i to był pierwszy etap w jego późniejszym rozwoju.

Po pobycie w r. 1904 w Japonii Dmowski uprzytomnił sobie, korygując jakby dawniejszy, własny indywidualizm, rolę zewnętrznego przymusu, wywieranego na jednostkę przez organizację państwową i środowisko przez dostatecznie długą ilość pokoleń, zmieniającego się stopniowo w wewnętrzny przymus moralny. To też w III wyd. w r. 1907 „Myśli nowoczesnego Polaka", w dodanej rozprawce „Podstawy polityki polskiej" określa patriotyzm jako „niezależny od woli jednostki związek moralny z narodem, związek sprawiający, że jednostka... w pewnej szerokiej sferze czynów nie ma wolnej woli, ale musi być posłuszną woli zbiorowej narodu, wszystkich jego pokoleń, wyrażającej się w odziedziczonych instynktach". I dalej tak mówi: „najwyższem dla mnie zadowoleniem moralnem jest kochać i czcić to, co kochał i czcił mój ojciec i moi dziadowie, uznawać te same, co oni obowiązki... Tą etyką właściwie wszystkie narody żyją, w niej znajdują siły do walki, do poświęceń, do składania życia swego i swych bliskich w ofierze, z jej zanikiem tracą siłę, rozkładają się i giną".

Następny, wyższy szczebel rozwoju ideologii Dmowskiego zbliżył go do koncepcji katolickiej i wiary w Opatrzność oraz w nakaz etyczny dla jednostki, dobrowolności udziału w odwiecznych planach Opatrzności (Roman Dmowski: „Kościół, naród i państwo, r. 1927, str. 10). Sądził autor, że „bez tego co zrobił chrystianizm i Kościół Rzymski w dziejach, nie istniałyby narody dzisiejsze", w których katolicyzm sprawił „wychowanie indywidualnej duszy ludzkiej, mającej oparcie moralne w swem własnem sumieniu, a stąd posiadającej poczucie obowiązku i odpowiedzialności osobistej" oraz zespół wytworzonych „przez pokolenia instynktów moralnych, czyniących człowieka lepszym, zdolniejszym do współżycia z bliźnimi i stanowiących podstawę bytu społecznego".

Jakąż pomyłką dziejową jest współżycie obok siebie: ludzi wyhodowanych w tym typie zbiorowości społecznej— i żydów, wywodzących się z krajów, gdzie zbiorowość pochłonęła człowieka bez reszty.

A więc mickiewiczowska „dobrowolność", gotowość obywatelska i cnotliwa bezinteresowność — oto ideały, przyświecające w ideologii Dmowskiego.

Pogodzenie trwałości i mocy więzi społecznej, zrodzonej z narodowego instynktu, z jednoczesnemi: zachowaniem i rozwojem możliwości twórczych jednostki.

Właśnie na skutek opóźnienia Polaków w rozwoju w stosunku do Zachodu europejskiego — i małego wyemancypowania w indywidualizmie patriotyzm ich jest mało uświadomiony, bardziej żywiołowy, poprostu elementarny jako podstawowa władza duszy polskiej, przez to nie obliczający, bezinteresowny.

Tak wierzył i czuł sam Dmowski.

Stan. Józ.

NA MARGINESIE

W wileńskim „Słowie" (nr. 109) p. Ksawery Pruszyński tak kończy artykuł wstępny p. t. „Są w Polsce różni dziennikarze":

„.... przebiega podziemna granica, jaka jednych naszych dziennikarzy rozgranicza na zawsze od drugich. Jedni są zbyt silnie związani nie z władzami, lecz z krajem, narodem, państwem, by mogli być obojętni. Jednym nie przejdzie przez gardło kłamstwo optymizmu, innym nie wybiegnie na język słówko przestrogi. W ten sposób Polska ma dziś dwa typy dziennikarzy, informatorów opinii publicznej. Dla jednych są rauty, dla drugich cięgi. Ale służą Ojczyźnie tylko jedni.

I może przecież przyjdzie w Polsce Człowiek, któremu od tamtych kadzideł zacuchnie i który całą prawdę dostrzeże. I wówczas kadzidlarze niech sobie zachowają i rauty, i przedpokoje i łaski i kontakty. Nie zazdrościmy, nie żałujemy. Ale niech tamci inni uzyskają jedyne prawo, jakiego się nie wyrzekli: prawo mówienia społeczeństwu prawdy".

Zagadnienie jest głębsze, niż to pęknięcie w świecie prasy. Chodzi właśnie o to prawo mówienia prawdy.

*

Agen. antymasońska (nr. 1—2 z rb.) donosi:

W Paryżu wydawany jest dwa razy do roku, ściśle dla wtajemniczonych, pod auspicjami Suwerennego Wielkiego Mistrza „Biuletyn Urzędowy Rytu Dawnego i Pierwotnego *Memphis Misraim*" na Francję i podległe okręgi (*Suwerenne Sanktuarium*). Organ jak widzimy, autentyczny, nie podrzucony i nie możliwy do zakwestionowania. W Biuletynie tym nr. 12 z dn. Św. Jana Zimowego t. j. 24 grudnia 1938 r. na str. 4-ej znajdujemy rozdział poświęcony Polsce. W rozdziale tym czytamy dosłownie:

„Nasz ukochany zakon uważa za wskazane uspokoić wszystkich swoich Braci, co do losu naszych członków polskich. Otóż nie grozi im żadne niebezpieczeństwo". „Archiwa obediencji warszawskiej zostały nam doręczone w dobrym i należytym stanie, za co składamy podziękowanie braterskie Wielkiemu Mistrzowi Światła, który okazał w tym wypadku wypróbowaną zapobiegliwość". „Pełne archiwa znajdują się obecnie we Francji, zabezpieczone od wszelkiej niedyskrecji profanów".

A myśmy tu czytali o rewizjach, konfiskatach...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.